

Filip Musiał

Pozorowana współpraca

Zobowiązanie do współpracy, udzielania pomocy i informacji czasem wyrażano w formie pisemnej, a czasem ustnej. To jednak dopiero pierwszy etap, czyli formalne pozyskanie. O rzeczywistej współpracy można było mówić dopiero wówczas, gdy tajny współpracownik dostarczał wiarygodnych informacji, wykonywał zleczone mu zadania i był lojalny wobec bezpieczeństwa.

W niektórych przypadkach bez wątplenia mamy do czynienia ze zgodą na współpracę z bezpieczeństwem podejmowaną z przyczyn taktycznych. Przykładem tego typu działania jest sprawa księdza Jana Pochopienia. Duchowny ten w czasie tzw. procesu kurii krakowskiej, w styczniu 1953 roku, został skazany na 8 lat więzienia. Zarzucono mu udział w „siatce szpiegowskiej” stworzonej i kierowanej przez ks. Józefa Lelitę.

Ks. Lelito był działaczem konspiracyjnym związanym z działającą na emigracji Radą Polityczną, zaś ks. Pochopień został sztucznie dołączony do jego procesu – jako notariusz kurialny pasował do propagandowej tezy oskarżenia. Gdy po wyroku trafił do więzienia, był poważnie chory – aresztowany został niedługo po wyjściu ze szpitala. Wiedział, że przy jego stanie zdrowia nie ma żadnych szans na przeżycie 8 lat za murem. Zapewne dlatego w marcu 1954 roku – będąc więźniem w Wiśniczu Nowym – wyraził zgodę na współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa. Propozycję współpracy złożył mu Adam Błażejczyk z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. Ks. Pochopień przyjął pseudonim „Jot” i podpisał zobowiązanie, w którym zastrzegł – jak można sądzić, na żądanie funkcjonariuszy UB – iż został *ostrzeżony i pouczony, że za ujawnienie czegokolwiek nawet najbliższym członkom rodziny, współpracownikom kapłanom, a także i spowiednikowi, pociągnięty zostanie do odpowiedzialności karnej za zdradę tajemnicy państwowej.*

W listopadzie 1954 roku duchowny został przeniesiony do więzienia Montelupich w Krakowie. W lutym 1955 roku w opinii więziennej napisano o nim, że: *w zachowaniu jest więźniem spokojnym nie wypływa [to] z jego zrozumienia czy przemian wychowawczych podczas pobytu w więzieniu, takie postępowanie podyktowane jest chęcią wprowadzenia w błąd Władz Więziennych po to tylko, aby uzyskać dobrą opinię przy zachowaniu przez siebie negatywnego stosunku do ustroju Polski Ludowej, jak to przebija się podczas przeprowadzanych z nim rozmów pomimo, że wrogich wypowiedzi w stosunku do ustroju Polski Ludowej nie stwierdzono.*

Nie przychodził na noc

Ks. Pochopień nie był wykorzystywany jako tzw. agent celny, czyli osoba donosząca na współwięźniów. Jak zaznaczył referent Wydziału XI WUBP w Krakowie Jan Bębenek: *po werbunku i odpowiednim jego nastawieniu, dalsza współpraca z nim nie jest kontynuowana. Po zwolnieniu go z więzienia co byłoby przydatne, a nie budzące podejrzenia zostanie podjęty na kontakt do dalszego kontynuowania z nim współpracy. Z uwagi na posiadanie szerokich znajomości wśród księży i odpowiedniego autorytetu ma on szerokie możliwości po naszej linii, co stwarza dosyć duże perspektywy operacyjnego wykorzystania.*

Zgodnie z planem duchownego zwolniono wcześniej z więzienia, w maju 1955 roku. Jak zapisano w listopadzie 1956 roku: *z chwilą opuszczenia przez niego więzienia kilkakrotnie usiłowano z nim nawiązać kontakt, lecz nigdy to nie dochodziło do skutku, gdyż informator*

wyraźnie tego unikał. Ostatnio w celu uniknięcia spotkania z pracownikiem nie przychodził na noc do mieszkania, a nawet zdradzał tendencje do dekonspiracji, czego dowodem jest zwierzenie się o rzekomym nachodzeniu go przez pracownika B[ezpieczeństwa] P[ublicznego] przed inf[ormatorem] ps. „K”. W związku z powyższym zaniechano nawiązania z nim kontaktu jako nie odpowiadającym do współpracy oraz postanowiono wyeliminować go z sieci agent[uralnej].

Kapłan pozostał lojalny wobec Kościoła, co prawda podpisał zobowiązanie do współpracy, ale nigdy nie złożył doniesienia – ani w formie ustnej, ani pisemnej. Jego postawa jest dowodem, że nawet w czasach największych represji możliwe było skuteczne przeciwstawienie się naciskom UB.

Zorientowany o zamiarach

W nieco odmienny sposób potoczyły się losy Antoniego Ochęduszki – pracownika administracyjnego „Tygodnika Powszechnego”. W sierpniu 1960 roku przeprowadził z nim rozmowę Józef Schiller, funkcjonariusz Wydziału III krakowskiej SB. Ochęduszko w czasie rozmowy miał jednak pewną przewagę w porównaniu z większością innych osób – w okresie dwudziestolecia międzywojennego pracował w krakowskiej Policji Państwowej, zajmując się sprawami kontrwywiadu (tzw. defa).

Po spotkaniu Schiller zapisał: *ob. „O” jest bardzo dokładnie zorientowany w pracy operacyjnej. Posługuje się zupełnie swobodnie terminami z tej pracy i natychmiast rozumie, o co właściwie chodzi. Rozmawiał chętnie i bez skrępowania. Wydawało się, że jest zorientowany o naszych zamiarach w stosunku do niego (ewentualnego werbunku). Ze względu na powyższe należy mu na przyszłym spotkaniu zaproponować współpracę z naszą służbą.*

Już od tego momentu Ochęduszko rozpoczął specyficzną grę z Schillerem. Funkcjonariusz SB zlecił mu przygotowanie raportu o pracy operacyjnej przedwojennej „defy”. Jednak na kolejne – odbyte jeszcze w tym samym miesiącu – spotkanie kandydat do werbunku nie przyniósł raportu, jak raportował Schiller: *uważa bowiem, że metody które kiedyś stosowano są w porównaniu do dzisiejszych nic nie warte i nic właściwie nam nie dadzą. Poza tym on doskonale się orientuje, że nas wcale te rzeczy nie ciekawią. Zarazem, jak podkreślał funkcjonariusz SB, na złożoną propozycję współpracy kandydat wyraził zgodę i podkreślił, że jako obywatel PRL godzi się na rozmowy i spotkania z nami i na udzielanie nam wyjaśnień w interesujących nas sprawach, lecz chciałby, aby zachowane to zostało w tajemnicy. Werbowany przyjął pseudonim „Orski”.*

Nie nadaje się

Kolejne spotkanie – już we wrześniu 1960 roku mieli odbyć w tym samym co poprzednio lokalu kontaktowym. Schiller i Ochęduszko spotkali się wcześniej i jechali jedną taksówką. Gdy tylko z niej wysiedli, „Orski” złapał się za serce, mówiąc, że odczuwa silny ból. Schiller zaprowadził go do znajdującej się kilka kamienic dalej przychodni, gdzie zaaplikowano mu krople na serce.

Jak raportował dalszy przebieg wydarzeń Schiller: *po wypiciu lekarstwa TW „Orski” b[ardzo] szybko przyszedł do normalnego stanu i ponieważ nikogo w poczekalni nie było, gdzie siedzieliśmy zaczął mówić o stosunku jego do współpracy. Podkreślił, że jest chory na serce, przy czym wyjął jakieś zaświadczenia ze szpitala mające ten stan stwierdzić. Wszelkie zdenerwowanie powoduje u niego natychmiast reakcję, której świadkiem byłem. Ma również poważne kłopoty mieszkaniowe. [...] Z powyższych względów na „agenta” naszej służby nie*

nadaje się. Rozumie bowiem, że chodzi nam o rzeczy polityczne, o kierunek pisma, o dyskusje na ten temat itp. Do tego nie ma dostępu i obecnie nie chce się pchać w tego rodzaju rzeczy.

Funkcjonariusz SB przekonywał Ochęduszkę, że współpraca nie będzie dla niego ciężarem, jednocześnie w adresowanym do swych przełożonych piśmie podkreślał: *na następnym spotkaniu postawię mu sprawę utrzymania kontaktów przez pewien okres na przykład rok, w czasie którym poda nam rzeczy, które dotychczas wie na interesujące nas tematy i które zna w związku z wykonywanymi obowiązkami. Jego współpracę z nami należy traktować (i dać mu do zrozumienia to) jako pewną znajomość dość luźną, ale zobowiązującą go do dzielenia się z nami swoimi spostrzeżeniami [...].*

Do kolejnych spotkań doszło w październiku i listopadzie. „Orski” udzielał pewnych informacji, które – jak można podejrzewać – uznawał za nieistotne. Oficer prowadzący miał świadomość nielojalności współpracownika. Po spotkaniu z listopada, w czasie którego rozmawiali o Zjeździe „Znaku”, zanotował, że co prawda TW przekazał mu spis uczestników zjazdu (ogólnie dostępny) i teksty referatów Jerzego Turowicza i Stanisława Stommy (maszynopisy powielone przewidziane do kolportażu o ograniczonym zasięgu), to jednak *same obrady zjazdu słycał zupełnie. Mimo że był uczestnikiem zjazdu, żadnych ciekawszych dyskusji nie słycał (co było niezgodne z prawdą).*

W kolejnych tygodniach „Orski” zaczął unikać kontaktów z Schillerem, który nie ustawał w wysiłkach spotkania się z nim. Ostatecznie do spotkania doszło w lutym 1961 roku, po czym znowu nastąpiła kilkutygodniowa przerwa.

Schiller systematycznie zdawał relacje z prób nawiązania kontaktu, pisał między innymi: *dnia 13 IV [19]61 r. spotkałem TW „Orski” w pobliżu jego mieszkania, aby się umówić na spotkanie. Odpowiedział, że wyjeżdża do Warszawy, i abym zadzwonił do niego kiedyś później. Na moją uwagę, że szukanie go przy pomocy telefonu jest niepraktyczne i nie zapewnia właściwej konspiracji odpowiedział, że do redakcji mogę zawsze śmiało zadzwonić [...] dnia 9 V [19]61 r. czekałem na przystanku tramwajowym w pobliżu mieszkania TW „Orski”, aby umówić z nim spotkanie. TW około godz. 8.15 zbliżył się do przystanku i udając, że mnie nie dostrzegł natychmiast wsiadł do nadjeżdżającego tramwaju, gdzie zaczął rozmawiać z osobnikiem zbliżonym do niego wiekiem. Nie podszedłem z tego powodu do niego.*

Nie przyjdzie na spotkanie

Ostatecznie Schiller doprowadził do spotkania z „Orskim” 28 czerwca 1961 roku na ulicy, gdy ten wracał z pracy. Jednak – jak raportował – *natychmiast po przywitaniu TW pokazał mi zaświadczenie lekarskie, że przeżył ostatnio zawał serca (drugi z kolei). Wyjaśnił przy tym, że lekarz zalecił mu daleko posunięty spokojny tryb życia, unikania jakichkolwiek zdenerwowań itp. [...] współpraca z nami – mimo że spotkania były rzadko absorbuje go i utrzymuje w stałym napięciu nerwowym. Każdy telefon do niego jest dużym przeżyciem nerwowym i z tego powodu odmawia jakichkolwiek spotkań, udzielania informacji itp. [...] To jest jego ostateczna decyzja, której nic nie zdoła zmienić. Zrywa zupełnie znajomość ze mną i zapomina, że kiedyś znaliśmy się i z mojej strony powinno nastąpić to samo w stosunku do jego osoby [...] nadmienilem wówczas, że w związku z tego rodzaju postawą, będzie chciał rozmawiać z nim mój przełożony. Odpowiedział, że nie przyjdzie już na żadne spotkanie [...].*

W ciągu krótkiego epizodu w roli TW „Orski”, który starał się unikać współpracy, mimo wszystko udzielił Schillerowi pewnych informacji dotyczących sytuacji w „Tygodniku Powszechnym”. Choć były ogólne, ich przydatność polegała na możliwości weryfikacji dzięki nim danych uzyskiwanych z innych źródeł. Taktyka przyjęta przez Antoniego Ochęduszkę dowodzi jednak, że można było, nawet po wstępnym załamaniu i podpisaniu

zobowiązania do współpracy, skutecznie uchylić się od niej i zerwać kontakty z oficerem prowadzącym.

Nie było kontaktu

W grudniu 1946 roku Józef Matwiszyn z Wydziału V Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie zwerbował do współpracy informatora ps. „Nadwiślan”. Jak jednak odnotowano w maju 1951 roku: *zawerbowany został 30 XII [19]46. Od tego czasu nie było z nim kontaktu*. W związku z czym wyłączono go z sieci agenturalnej, a pustateczka trafiła do ubeckiego archiwum.

W październiku 1980 roku, w czasie trwającej ponad trzy godziny rozmowy funkcjonariusze Wydziału IV krakowskiej SB Waldemar Chmurzyński i Józef Dyśko uzyskali zgodę na współpracę z SB osoby, która została zarejestrowana jako tajny współpracownik ps. „Polityk”. Jednak po tym formalnym werbunku do kolejnych spotkań nie doszło, pięć dni później „Polityk” zatelefonował do Chmurzyńskiego i zakomunikował, że dalszych rozmów i kontaktów nie będzie.

Przytoczone przykłady dowodzą, że każdy przypadek tajnej współpracy należy traktować indywidualnie. Są świadectwem postaw osób, które najpierw – z różnych względów – świadomie zgodziły się na współpracę, by się z niej nie wywiązać. Niezwykle istotne jest zatem rozróżnienie samego werbunku od pozyskania faktycznego, bowiem nie każda zgoda na współpracę niesła za sobą konsekwencje w postaci szkodliwych donosów.

Jednocześnie nie można zapominać, komu miały służyć donosy. Jedynym kryterium ich szkodliwości jest ocena funkcjonariuszy UB-SB. Składane przez konfidentów informacje stanowiły jedno z narzędzi ich działania, zatem tylko bezpieka mogła ocenić, jak bardzo przydały się one w prowadzonych przedsięwzięciach. Wiele osób, które nie miały dość siły, by tak jak ks. Jan Pochopień czy Antoni Ochęduszek wyrwać się z matni, w którą wplątały się poprzez podpisanie zobowiązania, oszukuje samych siebie i opinię publiczną twierdzeniami, że ich kontakt z SB był nieszkodliwy, a przekazywane informacje nieistotne. Jednak udzielający informacji, nie wiedząc, jakie dane bezpieki już posiada, nigdy nie mógł ocenić szkodliwości swego donosu.

Informacji o przebiegu współpracy i powodach jej zerwania dostarczają nam akta bezpieki, po raz kolejny świadcząc o wysokiej wiarygodności tych archiwaliów. Bezpieka nie fałszowała własnej dokumentacji i właśnie dlatego możemy w niej odnaleźć świadectwa ludzkich dramatów i uwikłania w totalitarny system. Dowody zdrady i zakłamania, ale także historie osób, które po początkowym okazaniu słabości potrafiły wyrwać się z bezpieczeniackiej sieci.

Pierwodruk: „Dziennik Polski”, 25 VIII 2006; przedruk: *Agentura w akcji*, red. F. Musiał, J. Szarek, „Z archiwów bezpieki – nieznanne karty PRL”, t. 4, Kraków 2007